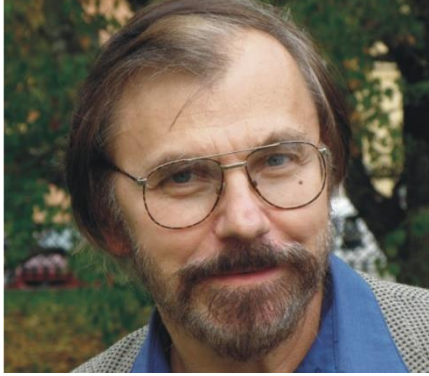


Listy do Pani A. (184)



Fot. Andrzej Dębkowski

Jak zostałem dyktatorem

Droga Pani!

Pierwsze dni listopada, a właściwie cały miesiąc, nie muszą być smutne i ponure; nie muszą nieść myśli wyłącznie funeralnych, choć niejaka zaduma nad ulotnością wszystkiego i nas samych zawsze jest pożądana. Zapewne przyczyna mi Pani rację, że wszystkie zjawiska, które nas otaczają, także przemijanie, należą do bogatego wachlarza, który nazywamy istnieniem. Nie uważam zatem, że o sprawach „ostatecznych” należy mówić wyłącznie z (nomen omen) grobową miną. A drugiego listopada chować się ze strachu przed duchami po kątach.

Już samo słowo „zaduszki” jest samo w sobie wesołe. Oczywiście modlimy się „za dusze”. Ale czy nie ma tu innych, zgoła nie ponurzych skojarzeń? Zaduszki, to może być osobliwe „święto żądów”. To brzmi niczym jakaś jurna zabawa ludowa. A ostatecznie dlaczego nie zadupki? Zawsze mi się to podobnie kojarzyło. Może mam od dziecka spaczoną wyobraźnię, ale też pewną wrażliwość na słowo, która mnie prowadzi nie zawsze w przyzwolite rejony.

Nie ma chyba człowieka, nawet najbardziej „wyzwolonego” supermena, który jednak nie bałby się śmierci. A żart z własnej śmiertelności oswaja tę wielką nieuchronną tajemnicę. I rzeczywiście, w przestarzałej symbolice było to przerażające. Sąd, ogień, diabły, ewentualnie jakiś dosyć enigmatyczny czyściec, a wszystko to na modłę baśniowo-ludową zantropomorfizowane, niemające nic wspólnego z metafizycznym pojęciem eschatologii. Tymczasem Wacław Oszajca w rozmowie z Damianem Jankowskim „Innego cudu nie będzie” (o tej książce, która leży stale na moim biurku, kilkakrotnie już wspominałem Pani) powiada:

„Gdy myślę o śmierci, zaczyna się we mnie rodzić pewnego rodzaju żal, że już czegoś nie zobaczę, że czegoś nie zdązę doświadczyć. Wtedy przychodzi opamiętanie i pytam sam siebie: a na jakiej podstawie sądzisz, że nie zobaczysz, na jakiej podstawie myślisz, że

między tobą a tymi, których kochasz, ma być zaraz przepaść, skoro w każdej cywilizacji jest coś takiego jak właśnie miłość, choć może różnie nazywana? Staram się ufać Bogu i nie przejmować się tym, co będzie potem. Wczorajem zasypiam spokojnie, prawie od razu.” To brzmi jak balsam na eschatologiczne lęki. Zresztą zawsze buntowałem się wobec tak zwanej „bojaźni bożej”. Dlaczego mam się bać, skoro Bóg nie jest moim wrogiem, sadystycznym sędzią skazującym nas na nie wiadomo jakie, nieodwracalne cierpienia. Śmierć nas przeraża, choć jest w niej zakodowany głęboki sens. Jaki? Tego nikt nie wie, ale raczej nie wiekiste cierpienie ani totalne unicestwienie. Ale czy znowu to ostatnie było by takie najgorsze?

Musimy na razie pozostawać w nieświadomości. Obserwować otaczający nas świat, w którym obok radości jest wiele dramatyizmu. Oto im dłużej się żyje, tym staje się wokół coraz bardziej pusto. Nie chcę tu Pani robić jakichś wypominków, tylko podzielić się swoim żalem. Za czym? Za życiem? Może za odchodzącą młodością?

Nie tak dawno zmarł Andrzej Zieniewicz. Poznaliśmy się w redakcji „Literatury”. Często rozmawialiśmy, chodziliśmy na wódeczkę do „końskiej” knajpki na Mokotowskiej. Na ścianach wisiały chomąta i jakieś części uprząży. Długo przesiadywaliśmy przy stoliku, sącząc czystą i rozmawiając właściwie o wszystkim, bo przecież nie tylko o literaturze... Andrzej nie był jeszcze profesorem, byliśmy młodzi, mieliśmy różne plany. Część się sprawdziła, część nie. I Andrzej umarł. A ja żyję i noszę w pamięci tamte razem spędzone chwile na trzeźwych, i nie tylko, rozmowach.

Wspominam też niedawno zmarłego Aleksandra Rozenfelda. Poznaliśmy się w redakcji „Światowida”. Pracował tam poeta Tadeusz Olszewski, z którym się przyjaźniłem. Też niestety już jest po tamtej stronie. Przychodziłem do Tadeusza dość często; odwiedzał go również i Aleksander. Był on bardzo wylewny i serdeczny. Na powitanie rzucał się nam na szyję, czego nie lubił Olszewski. Więc ja w swojej złośliwości przypomniałem: Aleksandrze, uściskaj i ucałuj Tadzia, bo będzie mu przykro, co tamten skwapliwie czynił. Widząc niezadowolony Tadeusza pękałem w duchu ze śmiechu. Tak czy inaczej lubiliśmy Aleksandra, ceniliśmy jego wiersze. Potem kontakt się rozluźnił. Niedawno dowiedziałem się, że Aleksander Rozenfeld odszedł.

W końcu lipca w trakcie mojej podróży na Mazury zadzwonił do mnie Andrzej Dębkowski z hiobową wieścią, że zmarł Lam Quang My. To spadło na mnie jak grom... Wyglądał na zdrowego, przestrzegał różnych rytuałów, które jego zdaniem są konieczne, a także specyficznej diety. Kiedyś w Kańskiej Dolnej podczas Galicyjskiej Jesieni Literackiej organizowanej przez Andrzeja Grabowskiego, dzieliłem z nim pokój. Pewnego ranka ze zdziwieniem zobaczyłem, że Lam oparty o ścianę, stoi na głowie. Wyjaśnił mi z charakterystyczną wymową: „tak cieba, tak cieba”. Nie wiem, czy trzeba, nigdy tego nie robiłem i... żyję nadal. Nazywałem go „człowiekiem-muchą”, bo przemieszczał się z punktu do punktu w

mgnienu oka. Pojechaliśmy pewnego razu we trzech do Elbląga. Był z nami wtedy śp. Aleksander Nawrocki. Wysiedliśmy z samochodu, aby rozejrzeć się w topografię, Lam został w aucie. Przykazałem, aby nie wychodził, nie otwierał drzwi. Po krótkim czasie usłyszałem wycie alarmu. W samochodzie nikogo nie było. Pobiegłem, aby wyłączyć alarm (ten typ nie miał pilota). Wtedy zauważyłem na końcu ulicy Lama. Zanim jednak się zorientowałem, już mi znowu znikł z pola widzenia. Och, jak go wtedy opieprzyłem! Miał się przecież nie ruszać z miejsca. A on, oburzony, zaczął wołać: „dyktator! dyktator!” I tak zostałem dyktatorem. Bardzo Lama lubiliśmy, zawsze nam towarzyszył w wyjazdach, imprezach poetyckich, śpiewał po wietnamsku swoje wiersze, co brzmiało niezwykle oryginalnie i egzotycznie. Przeszło, minęło... A może nie minęło, skoro trwa w naszej pamięci, w jakichś niedostępnych nam teraz przestrzeniach?

O przyjaciółkach tak serdecznych jak Staszek Nyczaj, kolegach, znajomych, którzy odeszli mógłbym Pani opowiadać jeszcze długo, ale to nie miejsce na niekończące się wypominki. Wracajmy do obecnych. „Oby żyli wiecznie” – jak mawiali starożytni Egipcjanie. Oto Andrzej Kosmowski przysłał mi swój tom „jeszcze jedna noc”. Poruszające, oryginalne wiersze. Ale i tu nie brak eschatologicznej zadumy. Jednak gdyby wyważyć „proporcje”, to więcej tutaj świata wraz z jego pięknem, choć czasem i grozą; poważnej obserwacji oraz interpretacji rzeczywistości. To głębokie, przemijające wiersze, ale zarazem niepozabawione nadziei.

Zachwylił mnie również tomik „kropka i kropka” Arkadiusza Frani. To poeta piszący wiersze z pełną świadomością, czym jest poezja na czym polega opór poetyckiego tworzywa. Jednocześnie poeta Frani jest bardzo spontaniczny, niesie duży ładunek czystego liryzmu. Poeta napisał: *Im mniej piszę wierszy, / tym bardziej są mi potrzebne. / Zbliżyłem się bezpiecznie do milczenia, / po którym wszystko zacznie się od końca.* Zawarł tu Arkadiusz Frania z jednej strony swoistą definicję poezji, z drugiej przesłanie wiecznej nadziei. Namawiam Panią, by uzupełniła swoją bibliotekę o te dwa tomiki.

Życie składa się także z różnych radości. W „Nowych Książkach” Andrzej Juchniewicz napisał bardzo trafną recenzję mojego „Epizodu podróznego”. Zwraca uwagę na jeden z kilku wątków przewijających się często w mojej poezji: *Doświadczeniem, które poeta opracowuje w różnych wariantach, jest starość (...) wzbierająca przyszłość objawi się w sposób niepozostawiający złudzeń co do nietrwałości ciała i trwałości pamięci o jego właścicielu: gdy ona nastanie, poeta stanie się prochem.*

A więc serdecznie Panią pozdrawiam, już bez doczesnej troski, syпки –

Stefan Jurkowski

